

Die 5 septembris

Gliniany, obóz wojsk Dymitra, popołudnie

Pod miastem czekały na nich pierwsze zaciągi, prawdziwe wojsko mające dopomóc Dymitrowi w odzyskaniu moskiewskiego tronu. Można było bowiem wywodzić ród carewicza od rzymskiego cesarza Augusta, Ruryka, Igora i Włodzimierza Wielkiego; można wzywać na świadków sługi jego, archanioły złociste na pomstę, a Pana Wszechmocnego na wykonawcę jego woli. Wszelako zarówno Ojciec Niebieski, jak i serafiny bujali sobie w niebiesiech, zaś car Borys Godunow, tyran i krwiopijca, siedział na carskim preście równie mocno i niewzruszenie co granitowy głaz w korycie górskiej rzeki. Trzeba by chyba trzęsienia ziemi, aby go poruszyć, a owo poruszenie łatwo mogło zdarzyć się za przyczyną dzielnych chorągwi polskich, zwłaszcza husarii, która – o ile była opłacona i trzeźwa – niczym skrzydłata lawina kruszyła szyki wielokrotnie liczniejszych Moskali.

Wojsko Dymitra stało obozem w polu, pod miastem, nieopodal stawu Krutniów na rzece Połtwi. Wedle słów Mniszcha

zgrupowało się tu pięć chorągwi husarii, kilka rot kozackich i petyhorskich, ściągniętych z całej Korony i Litwy, a także piechota wojewody, nieco Zaporozców, a nade wszystko cała masa wolentarzy i zbrojnego hultajstwa, przy którym nawet najbardziej wiekowa chorągiew pospolitego ruszenia wyglądała niczym pułk marsowych dzieci.

Porządku nie było żadnego. Widać nieznaczono jeszcze hetmanów i pułkowników, choć de nomine Dymitr był wodzem całej wyprawy. Namioty i kotary, a także taborowe wozy – które powinny stać w długich szeregach wzdłuż ulic wiodących na majdan, tworząc stancje, czyli zagrody, szerokie i długie na dwadzieścia albo trzydzieści stóp – rozstawiono bez ładu i składu. Dlatego obóz przywodził na myśl cygańskie obozowisko po powodzi, a nie kwatery zawodowego żołnierza.

Nawet przy namiotach husarskich, które Jacek odnalazł wkrótce dzięki krasnym chorągwiom z krzyżami, nie czuło się wcale siły polskich rot konnych, druzgocących szyki Szwedów, Niemców i Moskali. W obozowisku panowało pokojowe rozprężenie, laba i próżnowanie. Place i ulice zapchane były husarskimi końmi, uwiązanyymi do wozów, żującymi leniwie obrok lub przepędzanyymi przez czeladników wśród świstu batorów i tatarskich nawoływań. Towarzysze i pocztowi chadzali bez żupanów i czamar, w samych hajdawerach i koszulach, bez pasów i czapek, ledwie przy szablach i czekanach, za to z nieodłącznymi cynowymi kuflami i dzbanami w rękach. Jedni gwarzyli, inni oglądali konie, a znakomita większość piła, tak iż w tłumie niemal nie sposób było odróżnić towarzysza od czeladnika, a pacholika od szlachcica.

Tu i ówdzie spod pałub i płócien na wozach wystawały husarskie skrzydła i kulbaki z wysokim przednim, a szerokim i niskim tylnym łękiem. Tutaj pacholek czyścił popiołem i sadłem napierśnik i naramienniki, tam polerował szyszak, gdzie indziej znowu ostrzono przy wielkim kręgu szable, nadziaki i czekany. A nad tym wszystkim łopotwały w górze, pod błękitnym niebem, porporce kopii i rohatyn.

Dydyński rozpytywał o carską chorągiew husarską, w której rotmistrzem był sam Dymitr Iwanowicz, a porucznikował pan Stanisław Gogoliński. Wkrótce wskazano mu drogę do nieporządnie rozstawionych namiotów, kotar i szałasów. Nie wytyczono tu żadnych stacji – ot, kto był pierwszy na łące, ten brał tyle miejsca, ile mu się zmieściło w garści, a pozostali, którzy nadciągali później, musieli zadowolić się placami równie wielkimi jak spłachetki zagonowej szlachty.

– Gdzie my mamy stawać, panie wielmożny! – zafrasował się Borek. – Chyba z żabami za pan brat, w stawie!

– Tam wciśnijcie namioty, a z boku kotarę do spania. – Dydyński wskazał małą łączkę, na której paść się tabunik koników.

– Kiedy konie stoją!

– Poczekajcie! Zaraz zobaczymy czyje.

Przyskoczył na Hetmance do stadka. Ani wokół namiotu, ani w okolicy nie widział żadnego szlachcica. Koni pilnował tylko mały pacholik w baranej czapie i koszulinie. Dydyński natarł nań ze srogą miną.

– Czyje te konie, chłopie?!

Pastuch podniósł nań błękitne, załzawione oczy, jakby nie rozumiejąc powagi sytuacji. Przerwał jednak żucie trawki.

– Czyje konie, pytam się?!

– Jegomości pana Mikołaja Przybyłowskiego – wymamrotał pacholik, przesuwając przy tym źdźbło z jednego krańca warg na drugi.

– Gdzie twój pan?

– A tamój. W karczmie. – Machnął ręką w stronę majdanu.

– Wyganiaj konie! Z namiotami tu stajem!

– Kiedy pan zakazał!

– Konie możecie za obozem paść, bo tu miejsca braknie! Nie bój nic, załatwię co trzeba! Z twoim panem.

– Hrydeeeek! – rozdarł się pacholik. Za namiotem zamajaczyła rozkudłana głowa starszego sługi, a nieco wyżej długie i błyszczące ostrze rohatyny.

A z za pana Jacka wyjechali na podjezdkach Nieborski i Świrski. Z tyłu łypali złowieszczo Mykoła i Borek, obaj przy bandoletach i szablach.

– Poganiaj! – warknął Świrski, trzeźwy, więc zły, jak prawie każdy Polak w tym stanie. – Bo weźmiesz basarunek, że twoje postępy do samej Moskwy dolecą!

Ludzie nieobecnego pana Przybyłowskiego nie zaryzykowali zwady. Zaświstały baty, konie wyrwały do przodu, za nimi popędził pacholik.

– Stawiajcie obozowisko! – zagrzmał Dydyński do czeladzi. – A ty, panie Nieborski, pozwól za mną!

Zawrócili wierzchowce na majdan i poczęli przepychać się wśród koni, ludzi i czeladzi tam, gdzie stały wzorzyste namioty Mniszchów i gdzie Dydyński spodziewał się znaleźć starszą chorągwi.

Nie zawiódł się, bo całe towarzystwo, jak zwykle na popisie, ciągnęło niczym pszczoły do miodu pod rozłożone na kijach, rozpięte na linach płócienne kotary przy szatrach i budach, w których Żydzi ze Złoczowa i Glinian szynkowali miody, piwo i gorzałkę, wytaczając coraz to nowe antałki, odbijając siekierami dna i odszpuntowując półbeczki. Tuż obok na majdanie zrytym końskimi kopytami rozstawiono żerdzie i paliki, przy których goniono na ostre, kopy do pierścienia. Albowiem towarzystwo spod husarskich i kozackich znaków bardziej rade było osobistym gonitwom i popisom jeździeckim niż egzercunkom, czyli ćwiczeniom całej chorągwi w obrotach po koniu i frontem, w następowaniu na wroga, odwrocie i rozluźnianiu szeregów.

Dydyński zeskoczył z Hetmanki, zbliżył się do stołów, przy których zasiadali pospołu husarze i kozacy, to jest towarzysze szlacheccy z jazdy kozackiej, którzy poza nazwą nie mieli nic wspólnego z Zaporozcami z Ukrainy. Wszyscy zaś pochłonięci byli tym, czym jak świat światem zajmowała się każda armia: polska, rzymska, Chrystusowa czy anielska, kiedy nie miała nic do roboty. Z rąk do rąk krążyły dzbany, brzęczały kufle, bły-

skąły kubki. Tu grano w kości, tam w karty, gdzie indziej wynoszono pana brata, co przekroczył miarę. Tam znowu obściskiwano ladacznice, które krążyły wokół stołów natrętne niby gzy spragnione gorącej krwi szlacheckich ogierów.

– Waszmościowie wybaczcie, pana porucznika Gogolińskiego szukam.

– Dalej, przy trzecim stole, panie bracie.

Przepchnął się wreszcie do wskazanego stołu, przy którym zasiadali ludzie z chorągwi husarskiej Dymitra; od razu dostrzegł pana porucznika w rozpiętym karmazynowym husarskim żupanie z pętlcami, czapce zawieszanej na jednym uchu, z szablą odstawioną razem z rapcami przy rogu stołu, gawędzącego swobodnie z resztą towarzystwa.

– Chyba do śniegów będziemy tu stali! – biadał chudy szlachcic z wąsami niby dwa wiechcie słomy i gębą poznaczoną czarnymi cętkami po prochowym wystrzale. – Już się Ostrogscy na nas gotują! Ogniem i mieczem wojska carowe znosić...

– Na Boga żywego! Na nas? Żołnierzy Chrystusowych? Samarytan zacnych, co się ujęli za carewiczowską krzywdą?!

– Powiadam ci, Józku – gadał barczysty szlachcic o wesołej gębie ozdobionej szramą nad lewym okiem, a ruski zaśpiew w jego głosie nieomylnie zdradzał obywatela ukraińskich województw, albo też wcale nie tak znowu odległego Podlasia. – Kiedyśmy już jako te nieboskie stworzenia popili, przychodzą one cudaki do karczmy, do Tykocina, do nas, a każdy z babą, taka jego bladź. No to co żem miał zrobić – jeblem pierwszego w łupę, farfocla, siabelką, aż poszoł kurz z pawimentu!

– A co potem?

– Ano łapię ja jego babę i za cycki chwytam... To dała, a jakże. Sięgam tedy, panie bracie, niżej, do onych, jak to ksiądz w kościele powiadają: odiosam materiam Venerae⁶¹, aż tu mnie dzierlatka – bach w gębę! i rzecze: *Niżej pasa niech nie tyka! Zakazane!*

61 łac. – rzeczy przynależne do Wenery

– U, ha, ha! Tedy ją trzeba było do góry nogami odwrócić – rzucił wesoły brodacz siedzący obok owych, wnioskując ze wspomnianego Tykocina, obywateli podlaskich.

– Wchodzę ja, waszmościowie, na schody – perorował po drugiej stronie stołu brodaty, posiwiały szlachcic o szarych oczach i gębie pociętej niczym pieniek do rąbania drwa – a tam Mazurów dwóch Italczyka niesie. Mały ten pludrak, ledwie cztery i pół stopy – i to razem z kapeluszem – ale ponoć zajadły na płeć niewieścią niby stary satyr. Patrzą ja, mości panowie, a oni go wnieść na górę nie mogą, bo – imaginujcie sobie – miast wzdłuż w poprzek schodów się ustawili. Myślę ja sobie – ślepy każdy Mazur do dziewiątego dnia po porodzie, ale jak przejrzy, to wszystkich oszuka. Wszelako dla czegoż ci takiej prostej rzeczy nie obaczą? Podchodzę zatem i mówię: *Czekajcie, waszmościowie, pokażę wam, jak w ordynku stawać*. Złapałem ich, przekręciłem i mówię: *Mości panowie, na schody jak na baby, trzeba wzdłuż, a nie na poprzek wchodzić!*

– Czołem, waszmościowie – rzekł swobodnie stolnikowic, kiedy dotarł już przed oblicze pana porucznika. – Jestem Jacek z Dydni Dydyński, syn Aleksandra, a wcześniej towarzysz roty jegomości Szczęsnego Niewiarowskiego. Chcę do chorągwi wstąpić z poczem towarzyskim.

Porucznik podniósł zmęczone, przekrwione oczy.

– Witamy, witamy, panie bracie – rzekł i wskazał miejsce na ławie. – Pisał mi o waszmości pan Buczyński. I same Jego Carskie Wieliczesstwo... Witaj na kwaterach. – Dydyński uściśnęła miękko i wcale nie stwardniała od szabli prawicę porucznika. – Poczec jaki masz?

– Staję na trzy konie. Dwa podjezdki husarskie i wierzchowiec towarzyski. Służbę zaczynałem cztery lata temu, podczas wyprawy multańskiej Jana Zamoyskiego, w chorągwi, jeno z poczem czterokonnym, pod chorągwią ichmość panów Chodkiewiczów, Jana Karola i Aleksandra. Potem przeszedłem do roty imć pana Szczęsnego Niewiarowskiego, do Inflant. Mam na to świadków i listy. Jeno potem pocztowy mi poległ

pod Białym Kamieniem. Stąd tylko na trzy konie popisywać się mogę.

– To żeś inflantczyk? Żołnierz lisowski?

– Tak jest. Przez dwa lata. Z przerwą na studia. Od roku Pańskiego tysiąc sześćset drugiego do czwartego. Abdankowany w lipcu...

– Dlaczego?

– Ojciec umarł – mruknął niechętnie Dydyński. – Wiesz waszmość, jak to jest: są ludzie, dla których krewni tylko w ziemi pewni. Musiałem odejść z wojska, aby przypilnować ojcowizny.

– Witaj w kompanii. Mości panowie, poznajcie młodego Dydyńskiego, o którym siła mogliście słyszeć.

– Słyszeliśmy, słyszeliśmy – zamruczał szlachcic z blizną. – Siadaj acan z nami. I w kupne dawaj. Nie uwierzę, żeś przybył bez żadnej widendy, albo przynajmniej zacnego antałeczka.

– Policzę waszmości... trzy lata służby – mruknął porucznik. – Tak i wpiszę na miejsce... dwunaste.

– Dlaczego nie od razu trzydzieści! – zahuczał brodaty, porąbany towarzysz o sinych oczach. – Dwa, albo i półtora, nie więcej, bo inflantczycy więcej w kole gardłowali, niż Szweda bili!

– Waszmość pan odmawiasz mi zasług wojennych? – zapytał lodowatym głosem Dydyński. – Zarzucasz kłamstwo prosto w oczy, a nawet nie wiem, z kim mam do czynienia!

– Jestem Mikołaj Przybyłowski. – Stolnikowic poczuł na sobie ciężki wzrok nieznanego. – Służyłem już, kiedy waszmość koszulinę w zębach nosił. Za króla Stefana!

– Z jakiej racji odmawiasz mi półtora roku służby? Bom młodszy? A może dlatego, że nie krewny waszej mości?

– Boś służył w prywatnej chorągwi – warknął Przybyłowski, a Dydyński poczuł od razu, że żywot towarzysza husarskiego Jego Carskiej Wysokości nie będzie należał do najłatwiejszych. – Pod Chodkiewiczami. W rocie panięcej, co nie była w żadnych komputach ani na popisach! Tak tedy szukaj zasług

w magnackim wychodku, a nie w wojsku! Jeszcze chwila, a was młokosów będą w pieluchach wpisywać do rejestru!

– Chorągiew przeszła w grudniu Anno 1602 do suplementów koronnych i wszystkie jej zasługi zostały zaliczone. Są też zresztą papiery hetmańskie. – Dydyński położył dłoń na szabli. – Ale jeśli waść nie chcesz oczu nad skryptami tracić albo czytanie nie idzie, tedy możemy całą rzecz załatwić od ręki. Ot, wyjdziemy w krzaki, pogawędzą nasze panie węgierskie, a ten, którego wybranka drugą pannę przegada, ustali, czy jestem godny dobrego miejsca w rejestrze, czy też nie!

– Bójcie się Boga! – zaoponował porucznik. – Carewicz jest przy wojsku!

– Carzyk Dymitriaszka przymknie oczy – sapnął Przybyłowski, pokazując dobitnie, gdzie on, towarzysz husarski, ma powagę carskiego imienia. – Gardel nam nie odejmą za dobyte szabli pod bokiem moskiewskiego parcha. A choćby próbowali, będzie rwetes na całą Koronę, bo cóż ma za powagę Dymitr, aby szlachcie grozić mieczem?!

– Gdzie staniemy? – zapytał Dydyński, chcąc zakończyć przedstawienie. – Chyba lepiej poszczerbić waści gdzieś na ubo-
czu.

– Tak, zaraz stawać! – zasapał Przybyłowski, a Jacek od razu zmrużył oczy, bo podejrzewał już, że może pan Mikołaj najlepszym żołnierzem był za stołem, przy kielichu dobrego węgryna. – Pokaż, waść, że obroty znasz na koniu i na czele chorągwi.

– Prawdziwy husarz polski szabli i kutasa nigdy nie zapomina! – zarechotał porucznik.

– A ja o zakład idę – zawtórował pan Przybyłowski – że ci dzisiejsi nie to, że drzewko i kuśkę zapomną, ale nawet zdrowy rozum u murew w zamtuzie zostawią!

– Jak tam, panie bracie, podejmiesz waść wyzwanie?

– Panie Nieborski, konia! – zakomenderował Dydyński.

– Co za ludzie, co za czasy, co za obyczaje nastąpiły! – białad tymczasem Przybyłowski. – Byle gołota do chorągwi przyjedzie, to zaraz z niego pan rotmistrz. Lada pacholik z folwarku

do wojska zbiegnie, zaraz: pan towarzyszu, choć mu rumaka kupić muszą, bo tylko na własnym kusiu jeździć potrafi. Nie umie teraz syn szlachecki na koniu jeździć, musi się we Włoszech u kawalkatora uczyć. Za to kufla – tu pociągnął spory łyk piwa, jakby przecząc swym słowom – kart, kości, tańców i wszetecznego murestwa bardzo dobrze jest świadomy. Lepiej wie, jak dziewczkę za cycki pociągnąć, niż szabelką machać. Zginęła zgoła cnota żołnierska; nie słyszysz, kto by kopią pierścień wziął. Ani wsiądzie taki na konia, nie dotykając siodła albo łęku!

Dydyński zagryzł wąsa, bo właśnie siadał na Hetmankę, niestety, korzystając ze strzemiesienia i łapiąc lewą ręką za kulę przedniego łęku kulbaki. Usłyszał nawet, jak z tyłu ozwały się śmiechy, i krew w nim się zagotowała.

Obrócił konia w stronę towarzystwa, zmarszczył brwi.

– Dajcie się napić! Na sławę i szczęście!

– Może srogi miód z waszmości rycerza uczyni! Pij! Do dna!

Szybko podano mu w czapce gliniany kubek pełen lipca. Dydyński przerzucił wodze przez przedni łęk i podjął naczynie.

– Zdrowie panów towarzyszy! – zakrzyknął, a potem wychylił miód jednym haustem. Strącił ostatnie krople na ziemię, cisnął kubek pod kopyta konia z takim zamachem, że Hetmanka, choć niezbyt bojaźliwa, podskoczyła w miejscu.

– Dajcie drzewko!

Czeladnik podał mu długą na prawie osiem łokci kopię husarską, bez proporca. Dydyński zważył ją w rękę, złożył się na próbę, sprawdzając ciężar. Była dobrze wydrążona, od samego przodu aż do kuli w tylnej części, bo nie ciążyła zbyt mocno ku dołowi. Czterograniasty grot miał dobry łokieć długości, wzmocniony był żelaznymi piórami, to jest prętami zapobiegającymi odcięciu przedniej części kopii w czasie bitewnego zamętu lub kiedy chorągiew husarska zostałaby zaskoczona przez nieprzyjaciół z boku czy w trakcie odwrotu.

Dydyński złożył kopię w pół końskiego ucha, nie wkładając jej nawet w tok, czyli pas z tuleją umocowany do husarskiej kulbaki, który pomagał trzymać drzewko w rękę. Od razu ponaglił

łydkami Hetmankę, wszedł w galop, najeżdżając na pozorniki – drewniane paliki, do których umocowano szerokie drewniane pierścienie na sznurach.

Uderzenie kopią czy rohatyną w galopie albo cwale nie wymaga zbyt wielkiej wiedzy i umiejętności. Wszak każdy głupi umie przytrzymać drzewce pod prawym ramieniem i naprowadzić je na cel, który zbliża się nieubłaganie. Trudniej oczywiście dokonać najazdu husarską kopią niż spisą czy rohatyną, bo jest od nich o wiele dłuższa. Jednak cała sztuka polega na tym, aby tak poprowadzić konia, by przegalopował dokładnie obok miejsca, gdzie rozwieszono są pierścienie; w takiej odległości, aby łatwo nadziać kółko na grot kopii, zrywając je zarazem z pozornika. A to już nie jest prosta ani błaha kwestia. W tym bowiem jest ambaras, aby dwoje – koń i jeździec – chciało naraz. Wierzchowiec może zagalopować za późno i choć zgarnie się wtedy pierścienie, jadąc rysią, to przecież człowiek narazi się na śmiech towarzystwa. Czasem też pójdzie skokiem zbyt wcześnie – i nie jest to jeszcze bieda, o ile jeździec zdoła zawczasu pochylić drzewce. Jednak niekiedy koń może spłoszyć się i odskoczyć od pozorników, czy też przegalopować zbyt daleko, aby jeździec sięgnął do pierścienia. Czasem też może wprost wpaść na paliki, potrać je, obalić, a nawet zdeptać, z czego najwięcej uciechy ma pospólstwo, które zwykle samo jeździ słabo, ale skore jest za to do śmiechów i wrzasków.

Dydyński pochylił się w kulbace, bo gdy najeżdża się na pierścienie, wysiadując galop, będąc wyprostowanym w kulbace, kopia unosi się razem z jeźdźcem i łatwo można wybić Panu Niebieskiemu oko, sobie samemu zęby, albo też, nie daj Boże – złamać kopię o ziemię, co kończy gonitwę. A nawet wbić sobie złamane drzewce w przyrodzenie, co może oznaczać definitywny koniec własnej gałęzi rodowej. Dlatego stolnikowic przytrzymał lewą ręką Hetmankę na munsztuku, ustawił ją nogami i ciężarem ciała, zbaczając nieco na prawo, docisnął lekko siedzeniem, aby nie wyszła do zbyt szybkiego galopu, zniżył grot i... wziął pierwszy pierścień.

Chwila jeszcze! Trzymając konia na prostej drodze i prosząc w duchu, aby jego kobyle nie przyszło czasem do łba coś głupiego, pochylił kopię...

I wziął drugi!

Z trzecim poszło gorzej. Nie wiedział, czy miał zbyt zmęczoną rękę (każdy tak zwykle mawia, kiedy gonitwa nie idzie, więc równie dobrze można stwierdzić, że trawa była za śliska), czy też planety nie tak ustawiły się tego dnia w prognostyku; dość, że Hetmanka skoczyła w bok. Dokładnie w chwili, gdy miał zebrać kopią trzeci pierścień. I zamiast uderzyć w dziurę na jego środku, grot kopii rąbnął w lewą krawędź.

Dydyński zawrócił do towarzystwa, przekreślił kopię pionowo, niosąc na niej dwa grube pierścienie.

– Zacnie i sprawnie pan Dydyński kopią robi! – zakrzyknął Gogoliński. – Żeby to było w gonitwie, zapisaliby waszej mości razów dwanaście i jeden.

– Ale ostatniego nie zaliczył! – zawarczał wściekle Przybyłowski. – Pewnie zaraz powie, że koń mu się potknął, kopia pokrzywiła albo że dziura była w ziemi większa jak w kurewskiej piczy!

Odpowiedź Dydyńskiego była zgoła niespodziewana. Nic nie powiedział, tylko uderzył Hetmankę ostrogami, aż poszła skokiem wprost na panów towarzyszy. Szlachcice krzyknęli, porwali do szabel, odskoczyli na boki, kiedy zniżył kopię, celując wprost w Przybyłowskiego!

– Stój! – ryknął Gogoliński.

– Zdurniał ty!

– Na Boga!

Stolnikowic nie uderzył grotom pana Mikołaja. Nie miał nawet takiego zamiaru. Podbił drzewko w górę, nadział na grot wilczą czapę na łbie adwersarza, porwał ją na ostrze i poniósł na kopii. A potem wstrzymał konia, odchylając się w tył, ściągając uzdę, obrócił się w miejscu, dzierżąc drzewce dumnie jak sztandar.

– Mości panowie! – zakrzyknął. – Pod takim oto buńczukiem będę bił Moskali. Daj Panie Boże, żebym tak łatwo jak

kołpak waszmości zdjął Czapkę Monomacha ze łba cara Borysa Godunowa!

Przybyłowski nic nie powiedział. Nawet nie odwrócił się do stolnikowica, nie pomacał posiwiąłego łba, sprawdzając, czy uszy i czupryna są na swoim miejscu. Nie sięgnął nawet po szablę.

– Parol, panie Dydyński! – rzekł spokojnie.

Jacek oddał drzewko w ręce czeladnika, a kiedy ten je pochylił, zerwał z grotu nakrycie głowy Przybyłowskiego.

– Bierz, waszmość, czapkę! – zawołał, rzucając ją pod nogi Mikołaja. – Przyda ci się na jajca, kiedy pewien dobry człowiek zrobi z ciebie kapłona!

Pan Mikołaj odwrócił się ponury, jak niedźwiedź osaczony w sieci.

– Do pierwszej krwi czy do obezwładnienia?



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki